

Konsekwentnie wyrywkowe

Obsmażony boczek

Ciężki. Angielski. Kosmopolityczny. Ale wciąż boczek, taka sama postać, pod różnymi szerokościami geograficznymi. Boczek scala i obnaża. Wszyscy jesteśmy tacy sami, bądź co bądź. W toaletach czasem mamy mapy świata, tuż naprzeciwko muszli klozetowej, aby przypominały nam o marzeniach, wtedy, gdy akurat mamy na to trochę czasu. Tylko trochę czasu i mężczyźni umierający z przepicia wciąż się łudzą, że to przez kobiety. Paranoja konsekwencji. Boczek skwierczy, co rano.

Wiadomości literackie

Przeważają elementy tragiczne. Trawa rosła – mógł się wkurzyć - coraz śmielsze argumenty wyrozumiałości - tym bardziej, że ranking bestsellerów go omija. Ścisła nerwowo okulary, gdy młodzi poeci siedzą na dachu i do telewizyjnej kamery mówią o wyżynach słowa. Szczeka pies. Taki jest świat. Kobieta kradnie buty, nie dla siebie. Czasem szkoda konsekwencji.

Obrazy

Nostalgia portowych słupów fotografowanych z oddali. Dojrzałe chmury nad miastem. Dziś niesmaczne, jak mówi jeden koleżka o złej pogodzie. Życie brzmi w takich momentach mniej fałszywie. Dwoje ludzi rozmawia gdzieś w ogrodzie, w pamięci zapachy moje rekompensują nieobecności. Landschafty. Motyl podróżnik zaschnięty na falochronie. Przynajmniej próbował, myślę sobie. Słońce nigdy nie schowa się za horyzontem.

Chwile z drogi II

W Islandii ludzie są tak zamknięci w swojej kaście, że mieszają się tylko między sobą – konwersujemy sobie, a raczej słucham tych spełnionych mądrości. Po pokładzie przechadza się zalotnie panienka w obcisłej koszulce z napisem „Glamour”, cokolwiek to znaczy, tak wiem, etymologię znajdę cofając się do pierwszego numeru. Dziś, o dziewiątej rano, kapitan ogłosił konkurs plastyczny dla dzieci. Okazało się po fakcie, że wszystkie namalowały słońce, fale i statek bujający się ospale. Czy to koniec dziecięcej wyobraźni? Życie tu i teraz nabiera konsekwentnie rozmachu.

Rodak jeden

W nocy jakiś facet krzyczy przez sen – Zabierz te zabawki! – śniąc o awanturze, jaką przed wyjazdem zrobił żonie, a Coś stanęło mu na przeszkodzie. „Ja pracuję!”- wołał już prawie na trzeźwo rano, od współpasażerów domagając się szacunku w drodze na norweskie truskawki. Fotele lotnicze. Wiatr zawiewa słońce od wschodu. Orkiestra z pompą wykonuje dla turystów „Dancing Queen”, jazz w Sztokholmie zatracza poprzednie chwile. Ludzie, jak ładnie przystrzyżona trawa, leczą.

Skandynawskie przenikanie

Obiad w teatrze, wokół pada deszcz, luterańska wioska, pusta, łoś, może renifer, przenikają się obrazy w pamięci, rybak łowi ryby w rwącej rzece, już w Finlandii, krąg polarny o północy, a w Kerasuando kończy się droga, tam Maria, żona pastora, oduczyła Lapończyków złych nawyków, jej postać na głównym ołtarzu, asfaltowa droga przechodzi w piaskową, tundra, droga, tundra, droga, zdaje się, że rytm podróży jest właśnie taki, czasem lekki podskok, pustka, i nagle znikąd samotna osoba.

Etnicznie

Mari Boine. Czerwony kolor domów, mimo konsekwencji i powtarzalności nie brzydnie. Przez moment z muzyką z samochodzie widzę przez zapadane szyby dwa konie bawiące się na mokrej łące, taka wolność, kicz, jedziemy powoli, nikt więcej nie widział tego, chyba, nie dzielę się tym widokiem. Piję jedną kawę za drugą, przypominając sobie dziś tą chwilę. Mari Boine.

Gdzieś

Droga Czterech Wiatrów, pięknie to brzmi, wszędzie brzoza karłowata, wierzbówka, fiolet i biel zmieszana z szarością i życiem finlandzkich uchodźców. Ich zdjęcia w muzealnej gablocie pieczołowicie zamknięte zostały za szkłem. W twarzach ludzi napotkanych po drodze szukam tych ze zdjęć, wspomnień. Odnajduję to dopiero w pustej, wietrznej przestrzeni na widokowej górze. A teraz w mojej głowie.

Duchy

Północ za kręgiem polarnym traci sens. Troll przygląda mi się bacznie, coś wisi w powietrzu, skaldowie do znudzenia opowiadają życie dworskie, a Knut Hamsun osadnicze życie swojskie. Jakiś chłopiec spaceruje po moło z rybami, mgła, w głowie krąży maniackalnie myśl spóźniona: droga do Haparandy, to brzmi ładnie!, droga do Haparandy, to brzmi ładnie!, droga do Haparandy, to brzmi ładnie!. Zanosz się na burzę.

Hamsun w głowie

Golfstrom, miękka borowina, dom wiejskiej artystki obwieszony dziełami sztuki z resztek wieloryba. Błogosławieństwo ziemi, opuszczona, drewniana chata na końcu wsi, torfowy dach, słyszę w nim fiordy tego niedzielnego poranka. Taka Sellanra, tylko, że blisko drogi.

Strachliwie sennie

Opuszczona osada górnicza gdzieś pod lodowcem, a już na pewno na równi z nim, straszy. Zawsze. Tym razem, tak gdzieś dobrze w nocy, chociaż i tak jest jasno. Puste domy wśród ciężkiej ciszy. Przywodzą na myśl Edgara Poe, fakt, może także i Twin Peaks. Taka sobie miedziowa Jakobsbakken wioska, co sennie strachliwość rozbudza.

W odblasku

Taki zły dzień. Mój dzień. Nie bardzo się chcę z tym faktem pogodzić. To mój zły dzień. Często się przydarza. Wyszczierzony uśmiech nie zgaśnie. Kolejna powłoka szczęścia otuli szczelnie od rzeczywistości. A więc, to nie mój dzień. Kwitną bratki. A może nie. Nieważne, jak jest naprawdę. Mój ludzki cień odbija się prawdziwie tylko na zapomnianym drogowskacie. Błyszczą odblaskowa farba, a ja cieszę się upojnie każdą chwilą. Obowiązuje przecież carpe diem. Taki zły dzień. Mój dzień.

Correspondences II

Zbutwiała ziemia, zapach korzeni i liści. Dojrzałe jagody. Ślady zwierząt. Morski piasek w butach. Aurora Borealis kusi przyszłą myśl. Przygoda. Czuję dziwną tęsknotę. Typową dla ludzi z morskim horyzontem, jak pisał Knut. Hamsun oczywiście. Chociaż, ja wcale nie za morzem tęsknię.

Już

Los zatacza krąg. Czuję to. Ludzkie uczucia wypowiedane na głos często brzmią bzdurnie czyli, jest się czego bać. Wszystko wyolbrzymione. Siedzę w Oslo nieruchomo, godzinami, na jednej ławce. Z tyłu ponoć jest osłoneczniony port z pięknymi żaglami. Za plecami. Los zatacza krąg.

Pasaż emocjonalny

Z luksusowych sklepów dobiega dobry, wystudiowany dźwięk. Muzyka, dokładnie taki ton, a nie inny, taki, aby poczuć się dobrze, kupić i nie myśleć zbyt wiele. No to więc sobie tak tylko przypominam, że był taki fajny widoczek, siedziała owca, a na owcy sroka i wszystko działo się na zielonej łące. I jest dobrze. Konsekwentnie dobrze.

Villa Fridheim

Rubaszne freski na ścianach, zapach folkloru. Stare albumy norweskich rodzin z początku dwudziestego wieku. Na jednym ze zdjęć cała rodzina stoi stłoczona na tratwie. Pośrodku trumna. Wszyscy ubrani odświętnie, okazjonalnie. Przeprowią się zaraz na drugą stronę jeziora, może rwącej rzeki, do cmentarza. Trumna jest z nieociosanego drewna, ludzie mają dumę na twarzach. Nie mogę powstrzymać się od bzdurnej myśli, że w takim kontekście polskie pogrzeby wypadają nudnie.

Zapach kościoła

W niemieckiej TV domyślam się, co może mówić dziewczyna, która uciekła od oprawcy po ośmiu latach, napędza to i światową telewizję. Jak to jest, czy teraz spotka się z niemieckim papieżem?

Zaskoczyć się

Kobieta wychodzi, na ulicy potyka się o człowieka, przed chwilą dobrze się bawiła teraz dzwoni po pomoc. Podjeżdża Berliner Feuerwehr, numer 112. Upał. Samochody zasłaniają akcję. Sanitariusze poruszają się ospale. W radiu reklamy, słyszę chóralne „dankeszen”, gdy pojawia się drugi samochód. Notarzt bundeswehrkrankenhaus. Zupełnie nie wiem co to znaczy, więc przestaję i akcję rozumieć. Powoli przejeżdżają kremowe taksówki, których klienci także chcieliby do końca przeczytać ten długi napis, a może nie, może, to dla tego leżącego człowieka. Przejeżdża autobus. Migają za nim wnoszone nosze. Już po wszystkim. Kobieta jest nastrojowo zdezorientowana. Jak się ludziom wiedzie?

Do celu

Na Potsdamer Platz gubię się w przebudowie, taki bermudzki trójkąt w Berlinie. Wreszcie docieram do Zoologischer Garten. Nie bardzo wiem, po co, no, bo nie dla tej przypadkowo spotkanej Pani, co wciąż powtarza do mnie dowcipnie „insajd, rajt, end yu ar”, bo, z nią tylko o drodze porozmawiać mogę.

Arletta

Pełnia księżycyca w tle, w pobliskiej kamienicy do rozbiórki pali się światło na ostatnim piętrze, takiej niby wieży, światła palą się dokoła niej rozświetlając spróchniały, bezzębny dach. Arletta wzdycha. Wciąż pokutują wpajane nauki o księciu z bajki. Och, Carletta !

Stefan

Nazywam się S T E F A N - na początku było to. Nazywam się S T E F A N, no nie mów, przecież wszyscy wiedzą – później pojawiło się to. Stefan przechodzi obok. Ciepła, wełniana czapka naciągnięta głęboko na oczy skrywa twarz. A lato. Zbiera niedopałki na ulicy. Chyba z nim nie jest dobrze, bo się już nie przedstawia w metrze.

Z opowieści chaotycznych nocą

Jeździł taki jeden linią numer siedem. Nie dawał sobie rady w życiu. Trochę strach. A później wzbudza radość. Gdy zaczyna swoją mowę z prośbą o finansową pomoc podtrzymuje się rury pośrodku wagonu. Gdy się metro rozpędza i nabiera jednostajnej szybkości on zasypia w połowie przemowy. Na stojąco oczywiście. Budzi się co przystanek, ale potrafi tak przejechać kilka stacji zanim udaje mu się w swojej prośbie dotrzeć do końca. . . . No patrz, co ty nie powiesz?!

Dicke Wirtin

Helmut, przypadkiem spotkany człowiek, recytuje mi wiersze Brechta. Nic nie rozumiem, intonacja i emocje na jego twarzy rekompensują mi brak kontaktu z sensem. Deklamacja przeciąga się w czasie. Obok ktoś nie może sobie poradzić z telefonem. Słucham. Brecht po niemiecku pięknie pasuje do chwili.

Reklama dźwignią świadomości

Wohnst du noch oder lebst du schon? – jednym słowem, reklama pyta „Jeszcze mieszkasz czy już żyjesz?” odnosząc się do kupnaumeblowania. Czasem takimi marketingowymi chwytami człowiek dostaje między oczy. Ja chyba wciąż tylko mieszkam. Niektórzy nigdy nie będą żyli.

Samotność

Zrywam mirabelki przy drodze. Dawno smak zapomniany. Nie, nie śliwek, lecz ten przy drodze. Przechodzę obok miejsc różnych, wydają się być nie dla mnie, mimo, że kiedyś nie raz w nich bywałam. Konsekwentnie wyobcowane.

Byt

Czerwień małomiasteczkowa na rabatkach. Dwie dziewczynki, co przechodzą obok chcą szynszyla z nowo otwartego zoologicznego sklepu. Ojciec mówi „nie!”. Miały już cztery chomiki. Wszystko za czterdzieści złotych. Szynszyla za siedemdziesiąt, nie, nie kupi. Los szynszyla w sklepie wciąż się waży. Czerwień małomiasteczkowa na rabatkach puszy się w swojej czerwoności.

O kimś, kogo nie bardzo znam

Z obłędem w głowie grzecznie obgryza kawałki kurczaka własnoręcznie, mieszczańsko zapiekanego, a gdy się wreszcie kiedyś upije to czuje się głupio bezowocnie. Musi kochać z litości ludzi, których już kochać nie chce, rozmawiać z tymi, którym nic nie ma do powiedzenia. Żyje swoim życiem, sama nie wie, po co. Powolny dzień przydarza się jej niezwykle rzadko, a koty są mniej lekarstwem na wszystko niż dawniej.

Dzisiaj poezję częściej się recytuje, niż pisze.

Dzisiaj poezję się recytuje, nie pisze.

Aktorzy wydają się być najlepszymi pisarzami.

Dramatem jest dolanie do kawy nieświeżego mleka.

Emocje równoległe

Zgnieciona pościel, wymięte prześcieradło, oślinione plamy na poduszce. Maniakalnie puszczany jeden i ten sam film na sen, na Dobranoc, i wrywany kabel telewizora ostatkiem świadomości. Czyjeś skarpety pod łóżkiem. Puste kubki po zupie instant i klejący się stół. Miękkie dywany i ściany o czystych, żywych kolorach współtworzą ten dziwny obraz. Dwa w jednym, to nie reklama szamponu, lecz równoległe emocje. Nie można na spokoju opierać istnienia, lecz można często tego pragnąć.

Ból nie istnieje. Za każdym razem, gdy przychodzi nam z nim się zmierzyć wychodzi na jaw, że jest groteską, jaką nauczyliśmy się odgrywać, aby ukazać niespełnione oczekiwania. Ból nie istnieje, jest wyreżyserowanym stanem świadomości. Brak emocji także. Człowiek kochający największym absurdem.

Budzę się w środku nocy, nie jestem nocnym markiem, panel telefonu komórkowego rozświetla mrok, myślę o tym, kto może nie spać w nocy, w końcu każdy z nas ma takich znajomych. Wysyłam beznamiętne, miłe wiadomości. Przychodzą pozdrowienia. Jednak nie udaje mi się ponownie zasnąć. Słyszę oddech kota. Nigdy nie wsłuchiwałam się w oddech kota. To dziwne. Śpi snem spokojnym. Podleвам bazylię w kuchni, jedyną roślinę, której nie wykańczam świadomie, może, dlatego, że jest jadalna. Mam kota i bazylię. Bazylia pochodzi z supermarketu, a ja budzę się często w środku nocy. Czasem nie śpię wcale.

Moje miasto

Dwie młode dziewczyny z odsłoniętymi pępkami pchają dziadka na wózku do pobliskiego marketu. Dziadek ma białe rękawiczki żeby nie pobrudzić się od kółek. Kilka chwil później dziewczyny opuszczają dziadka, który, nie nawiązawszy kontaktów z nikim innym, wstaje i sam pcha wózek. Przechodzi chłopiec z plastikowym pistoletem. Strzela do dziadka. Moje miasto.

Gwiazdy, które spadają nigdy nie należą do nas.

Samostanowienie

Nocne pranie. Rozwieszane na sznurkach chłonie rześkie powietrze wisząc na zapyziałym podwórku tuż obok klubu fitness. Na reklamie wylupiające oczy symetrycznej kobiety. Wejście obok. Takie czasy, jakie obmyśla ktoś dla kobiety.

Koniec roku

Zapach wysublimowanej kuchni miesza się z buntowniczym rockiem. Mocny głos wokalistki ściera się z moją emocjonalną słabością w czterech ścianach. Przez okno widzę, jak ludzie wyprowadzają właśnie zakupione szczeniaki na spacer, otaczają je egoistyczną, pustą miłością. Gdy w głowie mam chaos właśnie ktoś kogoś zdradza i już wie, że się żadnej zdradzie nigdy nie oprze. Mieszanka myśli w czyjejs głowie, u mnie zapach wysublimowanej kuchni miesza się z buntowniczym rockiem. Takie czasy.

Napotkany, porzucony kot zachłystuje się łapczywie kromką chleba. To dosyć niespotykane, ja przeżuwał skórki. Pełne brzuchy, mój i jego, a jednak nikomu do nas nie po drodze. Miauczy z godnością, gdy odchodzę, a przynajmniej tak mu się wydaje.

Powtarzalność ludzkich uczuć sprawia, iż moje wydają się mi być banalne. Udaję, że kocham. Nie czytam książek. Nie słucham muzyki. Karmię się nudnymi rozmowami, każda rozpoczęta konwersacja traci moją koncentrację już w połowie. Gdy rano piję z B. sytuacja mnie nuży. Taka anatomiczna znajomość wydarzeń. Grzmi, za oknem burza, która nie przynosi już świeżości.

Uniwersalizm miejsc

Uniwersalizm miejsc nie przekłada się na odczucia człowieka. Estetykę miejsc, dajmy na to gór, można z łatwością zastąpić zwykłym miejscem nadając mu przyciągający wygląd i głębię. Zwykle byle gdzie stać się może wyśnionym pejzażem, lecz nie broni się w odniesieniu do człowieka. Poddany człowiek staje się bezsilny i byle jaki.

Kolekcjonerka wydarzeń

Pozorna pełnia księżycy i okulary do widzenia aury, inaczej się nie da, gdyż, jeśli raz poczuło się życie to później już szuka się tylko ucieczki od bylejakości, zazdrości warzywom.

Zagubienie

Na przystanku autobusowym nieznajoma starsza kobieta opowiada mi z rozbrajającą szczerością, jak kiedyś, przez nieuwagę, upiła własne wnuczęta cukierkami z alkoholem. Nawet nie bardzo mam ochotę tego słuchać, ale jej szczerość sprawia, że poranek jest bardziej ludzki. Z ławki pod wiatą w trakcie jej opowieści stacza się pijany człowiek, na spodniach pojawia się mokra plama. To powód do dyskusji dla wszystkich oczekujących na autobus ludzi. Starsza kobieta czuje się trochę oszukana, wcześniej było zabawnie, a teraz ten kontekst to już alkoholizm. Z boku słysząc głosy o poczuciu obowiązku i odpowiedzialności.

Pub Hollywood

Jakaś panna śmieje się zabójczym tonem, muzyka porusza stoły, wszystko rozwodnione, w takich miejscach zawsze wisi neon COCKTAILS BAR, a tequila odbijająca się w barowych lustrach to tylko butelki napełnione wodą, pewnie gdybym była bardziej pijana sprzedano by mi tą wodę bez żenady, gdy siedzę przy czerwonym, plastikowym stole, wszystko imitacja, nade mną powiewa wielkich rozmiarów flaga amerykańska, kręci się wentylator, nieme MTV prezentuje muskularnych raperów, a w tle zdjęcie Marilyn Monroe. Czekam w tym barze na Coś, w nim musi się Coś wydarzyć. Nie jestem sama w tym oczekiwaniu, co chwilę wchodzi ludzie bacznie obserwując tych, co już w środku.

Pub Hollywood II

Zimne stoliki wystawione na zewnątrz usmarowane sosami z pobliskiej budki typu Fast Food. Stoliki dla oczekujących na Coś, dudni wygłuszona muzyka z baru, słysząc ją przez chwilę wyraźniej, gdy się drzwi otwierają i zamykają. Naprzeciwko kilka pustych straganów, całą noc pilnuje ich jeden człowiek siedząc na drewnianym stołku. Dziwna praca. Przemykają ludzie bokiem. Od godziny czeka na kogoś grzecznie taksówkarz, grzeje się silnik w rytm życia po północy. Spotykają się ludzkie spojrzenia, fascynują przez moment odbite w oczach historie. Nocne ich kolekcjonowanie to próba walki z apatią.

Cytryna sztuczna, Analogie

Zgnieciona cytryna marnieje przy kostkach lodu w szklance. Marnieje, bo sztuczna, nie tam jej miejsce. Zgnieciona cytryna marnieje w popielniczce, obok śmieci i niedopałków papierosów. Marnieje, bo sztuczna, bo nie tam jej miejsce. Zgnieciona cytryna marnieje nadziana na słomkę, obok jakiś kartonowych motylków i bibułkowych kulek. Marnieje, bo sztuczna, bo jednak nie tam jej miejsce. Marnieje, bo od początku była bez sensu.

Podróż pokorna

Na siedzeniu obok młody ksiądz z owłosionymi łydkami czyta „Miłość współżycia małżeńskiego”. Już sam tytuł mnie bawi, chociaż raczej powinnam napisać, że nie tyle bawi, co zasmuca. Książka z treścią jak poradnik feng shui i ze zdjęciami à la obrazki z broszurek Świadków Jehowych. Jednym słowem, pokora, pokora, i jeszcze raz pokora z ciągłym, pokornym przebaczeniem i zamrożonym, sztucznym uśmiechem. Żadnego związku z rzeczywistością. Na twarzy czytającego również. Jest nabożne skupienie, a człowieka trzeba traktować po ludzku, lecz tego nie przeczyta się w tym poradniku. Jestem tego pewna, jak również i faktu, że ów młody ksiądz nie jest z tych, co nadstawiają pokornie drugi policzek.

Prorodzinnie

Do przedziału wsiada rodzina wzorcowa: on, ona i dwójka dzieci. Prorodzinną polityką. Ona spasiona, nie, nie gruba, spasiona bezmyślnością, a to robi różnicę. On z poczuciem odpowiedzialności za dzieje świata i srogim marsem na czole, za którym skrywa permanentne lenistwo i brak wyobraźni. Córka w różach, a chłopczyk mdły. Nie mają nic w sobie, niewiele też chcą od życia, to, że ktoś za nich myśli i chce by spełniali określone schematy całkowicie im wystarczy. Wchodzą w ten układ, tym bardziej, że jednocześnie wygrywają respekt.

Dworzec w B.

W odnowionej restauracji krzyczą „Kaszanka!” do oczekujących konsumentów. W szalecie brzmi z radia „Pierwszy siwy włos na twojej skroni...”, gdy ja ślizgam się po wypastowanych marmurach. Na piętrze ławki dla oczekujących podróżnych, na jednej z ławek widzę zakochaną parę, przed nią panoramiczne, łukowate okno z romantycznym widokiem na dworzec. Tuż nad parą duży zegar, jak z pięknych zdjęć, wielkimi wskazówkami majestatycznie odmierza czas. Tylko coś nie tak, może te kamery, po jednej z każdej strony, wymierzone w bezbronna parę, jak gdyby lepszy świat, to niekoniecznie był dla tych ludzi. Piękno to im pojęcie obce i oczywistym jest fakt, iż mogą w swoim szale niezrozumienia je zdewastować.

Imagine all the people

Obszerne szyby baru z widokiem na szary dworzec kolejowy. Barmanka o bujnych kształtach, które rozkłada na kontuarze, zastyga w bezruchu i marzy o księciu z bajki. W jednym kącie trzy młode dziewczyny przeżywają jakieś chwile, co pewien czas zalotnie spoglądając na pijanego chłopaka, który właśnie wyrócił kufel. Odór trawionego piwa. Szare firanki i zasuszone muchy. A wciąż tłą się marzenia. Marzenia na miarę lokalu.

Oddychać wreszcie

Na zakręcie mijają się dwa pociągi, nastawczy wygląda z okna, powiewa pomarańczowa chorągiewka, słońce leniwie ogrzewa tony żelastwa, i zapach, ten, niewiadomo skąd, zieleń między torami, szpaler drzew na równoległej drodze, oddycham, do przedziału wchodzi spokój w postaci starej, przygarbionej kobiety.

Z chwil bratysławskich

Idę ulicą. Jakiś pomyłony pijaczek wymyśla wszystkim przechodniom. Gdy przechodzę obok niego przerywa swój monolog, spogląda na mnie z respektem i mówi po krótkiej chwili, że ja wyglądam przynajmniej jak porządna, słowacka kurwa. Uważam to za komplement, w końcu nie każdy może po dwudniowym pobycie w jakimś kraju być brany natychmiast za autochtona. Nie wdaję się jednak w miłą pogawędkę.

Z chwil bratysławskich II

Świat z okna po śliwowicy wydaje się taki prosty i lekko erotyczny. Tagi niebieskie na szarym tynku kamienicy to najwyższy przejaw minimalistycznej myśli ludzkiej. Ludzie przechodzą w rytm dzwoniącego telefonu i tylko ta myśl, o kobiecie, o wojnie, o słowach, które napisał Hłasko, o tym, co przejmujące, przypomina mi od czasu do czasu, że moja przygoda ze śliwownicą miała ponure nastrojowo początki.

Z myśli bratysławskich III

Za barem widzę już tylko odcisnięte piersi barmanki w butelce coca-coli. Są połowicznie zniekształcone, przez wypukłość przyciemnionego napojem szkła. Zastania mi ten widok opadająca powieka. Wiele rzeczy, czasem niepozornych, może nam przysłonić widoki na przyszłość.

Z myśli bratysławskich IV

Podnoszę powieki z gorącym postanowieniem, że już nie dam się więcej tak zmanipulować światu by zaczynać pić o dwunastej. Barmanka puszcza mi słowacki rock. Patrzę w jej puste oczy. Szybki seks w toalecie. Pięknie opinający podkoszulek ląduje na umywalce. Później widzę w lustrze, jak za kontuarem przeciąga się ze zmęczenia. Ponownie staram się podnieść powieki. Konsekwentnie, świat byłby piękniejszy, gdyby liczyło się tylko to, co w wyobraźni.

Olecko, 2006, Ewa Kozłowska